Nr. 11. Lwów, Niedziela dnia 22. Marca 1874. Rok VI.

SZCZUTEK

KRONIKA LWOWSKA.

Poniedziałek. Klub postępowy lwowski zwołuje walne zgromadzenie członków. W tym celu używa wielkiej trąby, tej samej, w którą go puściła opinja publiczna.

Wtorek. Na odgłos tej potężnej trąby zjawia się czterech członków i pół członka, w osobie wysłańca Szomera, który wyobraża pełnomocnika wiedeńskich liberałów. — Postanowiono radzić przez cały tydzień.

Środa. Na porządku dziennym postawiono sprawę projektowanego pomnika dla pp. delegatów Bocheńskiego i Gniewosza. Pomnik stanie na placu Gołuchowskich, gdzie wszystkie świętości gaskońskie z czasem się uzbierają.



Czwartek. Podczas rozprawy nad projektem pomnika przyszło do scysji z wysłańcem Szomera. Szomer bowiem żądał, by obu delegatów przedstawiono jako Rzymian w stroju szmajgiełesów nowoczesnych. Rozprawę odroczono.

Piątek. Na dzisiejszem posiedzeniu proponowano wybrać komisję, któraby się zajęła zbadaniem stroju narodowego Gaskończyków. Ktoś bowiem z gorętszych zaproponował strój narodowy.

Sobota. Nareszcie zwyciężył projekt kronikarza niedzielnego, który przypadkiem tam zabłądził. Obydwaj ci mężowie będą osadzeni na rozszalałym pegazie, który uniosł autora fejletonu p. t. „Chrzest łaciński". Obaj jeźdcy, równie jak autor wniosku, będą osadzeni twarzą do ogona.

PISMO SATYRYCZNO-POLITYCZNE.

Wychodzi w każdą sobotę. Przedpłata całoroczna z przesyłką pocztową **10** złr., półrocznie **5** złr. ćwierćrocznie **2** złr. **50** ct. W wielkiem księztwie Poznańskiem **7** tal. — We Francji, Szwajcarji i Włoszech całorocznie **21** franków. — We Lwowie całorocznie **10** złr. — Numer pojedyńczy kosztuje **20** ct. — Prenumerować można we wszystkich księgarniach. — Reklamacje nie opłacają się; listy przyjmują się tylko opłacone. — Inseraty przyjmuje redakcja i ajencja dzienników A. Piątkowskiego.

ADRES: **Redakcja Szczutka, ulica Sobieskiego nr. 306 na I. piętrze.**

Przypominamy Szanownym Prenumeratorom, że z przyszłym numerem kończy się pierwszy kwartał i prosimy o wczesne nadesłanie przedpłaty. Prenumerata kosztuje całorocznie 10 złr., półrocznie 5 złr., ćwierćrocznie 2 złr. 50 ct. — Miejscowi Prenumeratorowie mogą składać prenumeratę we wszystkich księgarniach lwowskich, i otrzymywać będą pismo pocztą miejscową.

Interpelacja pana Onufrego z przedmieścia do pana Schenka prezydenta apelacji.

— Powiadają, co pan prezydent bardzo ostro się wypisał na sędziów po miasteczkach; owoś jabym prosił, coby pan prezydent najlepiej zrobił, coby nakazał panom sędziom, aby na diurnistów nie brali chłopców że mają niespełna lat dziesięć. Panom sędziom z tem dobrze, bo taki chłopczyna pisze za pięć ryńskich miesięcznie, i jeszcze je z tego pyszny. Ale ponoś lepiejby było, coby poszedł do rzemiosła jakiego, a nie wycierał kąty po kancelarjach, taj potem aby się wykierował na adwokacinę pokątnego, że je hańbą dla rodziców taj kuniracja dla ludzi. Rodzice, ot zwyczajnie ludzie z małego miasta, myślą, co to jest wielki honor, co chłopczyna pisze w becyrku, i nie widzą, co chłopiec z żydami po kurytarzach cygaństwa się przyucza. Owoś pokornie przepraszam i proszę coby pan prezydent porządek zrobił, taj tylko.

Zostaje pokorny

IMCi Onufry na Bajkach.

Tysiącletni Laokon.

Oj, biedny ja chrześcjanin!
Już chyba zturczyć się muszę;
Lat tysiąc przeszło z okładem
Gra ferbla dwóch o mą duszę....

Nic sobie zrobić nie mogą,
Bo każdy równo cygani —
Czasem się wezmą i za łby,
(Ot zwykle, w dobrej kompanji!)

Ten tego Baalem nazywa,
Ten znów tamtego Satrapą;
Lecz choć się łają i czubią,
Znów się ściskają *da Capo!*

A gdy się z sobą pogodzą,
Oj, zwykła trzeszczeć mi skóra! —
Pamiętnem mi autodafe
I średnich wieków tortura! — —

Dziś szczęściem znowu się kłócą...
A są i tacy w narodzie,
Co mi wciąż szepczą na ucho,
Abym ich skłaniał ku zgodzie.

Oj nie! nie głupim ja Franek,
Nie myślę wcale ich godzić,
Bo zgoda *takich* **szulerów**
Może mi w zdrowiu zaszkodzić! — —



WIELMOŻNY KALASANTY

herbu „Dobrynos“.



— Rozgadali się nasi delegaci w Wiedniu, i przyznać im trzeba, że się godziwie wywiązali ze swego zadania. Poczciwy tylko pan Kazimierz z Rożysk coś tam poplątał trochę; możemy mu jednak darować; mieliśmy dość czasu przyzwyczaić się do poczciwej jego kapoty, pod którą bije serce dobre, choć ponoś w polityce nie tęgi. Tylko że te Niemcy zaraz za głupstwo chwytają, i hajże na Soplicę. Ja konstatuje, że mu się owo głupstwo o konkordacie wyrwało, jakto człowiekowi nieraz w ferworze wyśliźnie się coś, co ni w pięć ni w dziewięć.

Szkoda jednakowoż zachodu naszych delegatów. Już taka nasza dola, że nam Niemcy w kaszę dmuchają. — Na początku autonomii powiedział dawniej Chochlik, że autonomja znaczy tyle, co:

„Wolnoć Tomku
W twoim domku — tylko zapłać.“

Oj zmieniły się czasy. Dzisiaj, i płąc i skacz wraże jak Niemiec każe.

Ja tam, mocium panie, na dewocję nigdy nie fiksował, i z mojej jejmości i z jej wody z Lourdes sobie baraszkuję, ale nie pozwolę nigdy, aby mnie tam Wiedeńczyk jakiś uczył jak Pana Boga chwalić.

Owoż wszystkie te projekta profesorów niemieckich to inwazja nowa.

Ciekawym, co sobie też myślą owi księża Pawlikowy et consortes. Z zawiści ślepej ku nam dopomogli żydom ukuć broń przeciw samym sobie.

A gdyby nasi mieli rozum, to pokręciliby sie koło metropolity, onby już znalazł sposoby na nich. Panowie ultramontanie umiecie wyklinać na wiatr byle za co, otoż tu zaaplikujcie wasze pioruny, bo tu mogą być skutecznemi wasze pociski. Świeckim heretykom dajcie spokój, tych nie przerobicie, ale waszych własnych uczcie rozumu, jeżeli tyle siły macie.

A panu Gniewoszowi i Bocheńskiemu należą się verba veritatis. Zajechaliście na waszym liberalizmie w błoto głębokie, już wam nie wybrnąć ztamtąd. Zapomnieliście że nie wolno nam dopomagać obcym, by nam reformowali z gruntu społeczeństwo podług swego widzimisię, i zapomnieliście, że my bijąc w liberalizm niemiecki, bijemy w centrałów. Zapomnieliście — niechże wam Bóg odpuści, ja nie mogę. Dixi.

Ważna wiadomość dla zwolenników homeopatji.

Uczeni redaktorowie „Przeglądu lwowskiego“ wyrabiają obecnie extrakt cudownej wody z Lourdes. Jedna kropla tego extraktu zalurdza kwartę zwykłej wody; woda zalurdzona staje się natychmiast mokrą, a postawiona przy ogniu gotuje się, i staje się ciepłą. Jedna kropla kosztuje dziesięć centów; a te dziesięć centów można nawet w seidel piwa zamienić. Probatum est!

Główny skład w greislerei „Przeglądu lwowskiego.“

Westchnienie

stronnictwa Hohenwarta podczas mowy p. Grocholskiego:

„Boże Broń mię od moich przyjaciół.“

Pamiętniki szatana.

(Ciąg dalszy.)

V.

Spałem tedy w polskim klubie,
Za wezgłowie miałem listy,
Gdzie donoszą ekonomy,
Jaki będzie dochód czysty.
Kształty moje krył pergamin,
Jak wiadomo tła żółtego,
Gdzie jaśniały facsimilje:
„Prima charitas ab ego!“

W sali wielka, święta cisza
Rozlewała czar spokoju,
Jak w Olimpie, gdy bogowie
Drzemać szli po dziennym znoju.
I bezpieczny byłem wielce
Pośród sali tej granitów,
Jak Lwowianie, kiedy dążą
Do kościoła jezuitów.

Ale nagle wlazł mi śmiało
Mól do nosa, pająk w ucho —
Więc w ciemnościach galicyjskich
Drżąc jęknąłem ciężko, głucho,
Na płomienne moje czoło
Pot rzucała trwoga dzika,
Jak na panią Europę,
Gdy szedł Jowisz w kształcie byka.

Szary mól pokucki wrzasnął:
„Co ty bruzdisz nam, szatanie!
Ja posiadam mądrość stanu,
Poznasz w każdym ją baranie.
Do kożucha wlazłszy śmiało,
Zadowolon swoją pozą,
Tuczę siebie con amore,
A zaś milczę maestoso!“

Pająk z przemyskiego, sycząc
Jako pociąg, tak mi prawił:
„Powiem Jego Ekscelencji,
Aby cię per Schub odstawił,
Bo przeszkadzasz snuć mi siecie,
A czy pojął ty przeklęty,
Jaki będzie kraj szczęśliwy,
Gdy urosną moje renty?“

Więc krzyknąłem pełen zgrozy:
„Ratuj wielki Belzebubie!“
Ale na-to usłyszałem
Dziki chichot w polskim klubie.
Szampan z głowy swej rozbitej
Sączy smołę zamiast piany,
Talja kart na moich włosach
Świszcząc tańczy wściekłe tany,

Maska letnej baletniczki
Oczy moje pali, krwawo,
But podolski obcasami
Rozpaloną pierś mi dławi,
A krakowski bucik lekki,
Wodę z Lourdes na nos zlewa. —
Choć-bym książek miał, co Giller,
Nie opiszę wszystkie dziwa!

W tem uczcili swą wizytą
Straszny salon ten wiedeński
Krapuliński i Waszlapski,
To jest: Gniewosz i Bocheński.
Jeden, drugi zamyślony,
Jakby spełnił jakie crimen,
Jeden pyta, drugi pyta:
„Lieber Bruder, wie zu stimmen?“
Jeden wierci, drugi wierci
Palcem swoim we swem czole,
Jeden mrugnął, drugi mrugnął,
I krzyknęli obaj w kole:
„Na versteht si, na versteht si!“

(Dokoń. nast.)

Polityk lwowski.



— Już teraz niewiem nic, powiadam, że nie wiem nic. Bo niechże mi kto powie, co ma znaczyć artykuł Dziennika przeciw Napoleonowi IV. Pytam się wszystkich, co my Polacy bez Napoleona? — Od czasu śmierci Napoleona III. nie mamy, my Polacy, żadnej kombinacji politycznej. Co tu gadać? — uroczystość w Chiselchurst ma dla nas i dla wszystkich ludów uciemiężonych ogromne znaczenie. Dzień 16. Marca jest dla mnie po prostu dniem historycznym. Pokąd Napoleon był w Paryżu, była w Europie polityka — a teraz co? Tu panie, widzę już jak Moskwa Turcję zabiera, Austrji daje w zamian za Galicję koronę niemiecką; bo co to wiele gadać, Moskwa nie może znosić takiego rywala jak są Prusacy; to jest jasnem jak na dłoni; Anglia lada chwila wejdzie z Francją w kolizję, a wszystko to będzie bez znaczenia politycznego. — Co tam panie te parlamenta, rady państwa, autonomie i tym podobne larifari, to panie nie jest polityka; ja wiem co się święci; ja przysięgam, że Napoleon IV. lada chwila ogłosi się cesarzem Francji, i na własną rękę rozpocznie, panie, wielką, olbrzymią kolosalną, europejską, napoleońską akcję na kontynencie i na morzu, wtenczas i my Polacy zrobimy kombinację polityczną. — Muszę też na jego szczęście postawić na loterję; lata jego: „18“ dzień urodzin: „16,“ i rok „74.“ Nazwę to ternem cesarskiem! — Ośmnastka wprawdzie wyszła niedawno, ale, zawsze to dobry numer, osobliwie w ambach lubi dopisywać.

Z zakresu botaniki.

Enumeratio plantarum Galiciæ et Lodomeriæ.

IV. klasa: **Mercatorice.**

Mercator grubobrzussius, roślina miesista i niekształtna, z kwiatem podobnym do piwonji, który sie zdaje być przykryty czarną małą czapeczką. Pod wpływem słońca wydaje z siebie szmer, przypominający sapanie, i okrywa sie kroplami potu. Pod wpływem dobrych cen grubieje coraz bardziej; gdy ceny spadną, chudnie przerażająco.

W cieniu tej rośliny krzewi sie zazwyczaj *Comis mercatorioides*, roślinka gietka, wymuskana i woniejąca jak mydło kokosowe. Owoc jej przypomina główke maku, ale pustą, i odznacza sie bruzdą, podobną do rozdziału włosów z tyłu głowy. Podlejszemi odmianami tej rośliny są: *Subjectus ordinaris. Miszures Zarwaniciensis. Popychajło practicans.* Rzadszą, lecz czasem niebezpieczną odmianą jest *Wyszczekania komiwojażeralis*, znana także pod nazwą *Blaga perfectissima.*

Grajsslerium officinale, bardzo pospolite, rośnie pod murami, przy drogach i w rowach.

Przekupcia purpurea, czesto na placach targowych i ulicach. Chcąc ją w zimie utrzymać, stawia się pod nią garnek z weglami. Na szczególniejsze uwzględnienie zasługuje *Varietas Cracoviensis*, która nigdy nie zapomina jezyka w gębie.

Handelesica miserrima, grzyb, pożerający przechodzone suknie i innego rodzaju starzyzne. Jest osobliwością, uszcześliwiającą tylko nasz kraj.

Directoria bancalis, roślina nie zbyt dawno do nas importowana. Wyborna do wyczyszczania kieszeni. Zabiera się do tej operacji, wprawiwszy swym upajającym zapachem w złudzenie milionowe.

Cassierus fugas chrustas, elegancka roślinka wijąca, która się czepia chętnie wielkich finansowych zakładów, a wyssawszy kilkadziesiąt tysiączek, daje się unosić wichrom za Atlantyk.

W styczności z powyższemi stoi poniekąd: *Comissarimu regirungi* lecz nie można o niem wiele powiedzieć, gdyż jak każda porządna roślina, tak i *Comissarium* nic nie czuje, nie słyszy i nie widzi, i jeżeli gdzie jest, to tak jak gdyby go właściwie wcale nie było.

Wizja

na temat z przeszłego numeru.

Po wyborach x. Bulbenko
Takie uczuł umęczenie,
Że, by przyjść do równowagi,
Chciał zagasić swe pragnienie.

Poszedł więc do Jankla Pfefra,
Który przecież już od młodu
W całym kraju kultywuje
Wyszynk wódki, piwa, miodu.

Widząc tedy x. Bulbenko,
Jak się naród tam zalewa,
Krzyknął głosem pompatycznym:
„Jankel Pfefer, *dawaj pywa!*“

Owoż tyle przez godzinę
Użył tej rozkoszy płynnej,
Że, aż głowe w dłoni złożył,
Śniąc o borbie w radzie gminnej.

Wreszcie kiedy już odchodził,
Rojąc dalej swe nadzieje,
Jankel go interpeluje:
„*A, jegomość, hroszi de je?*“

X. Bulbenko Jankla zmierzył
I szeroko rozwarł oczy
I piorunnym głosem wrzasnął:
„*Koły meni sia ne chocze!*“

Kiedy Jankel odpowiedział,
Że wybory to jest marność;
X. Bulbenko czule szepnął:
„*De je, Jankel, sołydarność?*“

Ale Jankel niewzruszony,
Wreszcie pieniądz swój wynęcił.
X. Bulbenko siadł na furę
I przez drogę nosem kręcił.

Doniesienie literackie.

Dowiadujemy się, że ks. prymas Ledóchowski pisze obecnie pamiętniki swoje, w czterech rozdziałach. Tytuły rozdziałów są bardzo trafnie pomyślane: pierwszy: „*Rzymianin*“ drugi „*Prusak*“ trzeci „*Polak*“ czwarty „*Święty.*“ Do rozdziału trzeciego ma przygotowywać ilustracje sam Bismark.

Korespondencje redakcji.

— **W. w Kr.** Przetłumacz Pan na język niemiecki, a będziesz Pan miał powodzenie! — **Or. w Lwowie.** Pańskie nerwy mało nas obchodzą. Kąpiel w wodzie z Lourdes może Pana wzmocnić; zresztą bądź Pan spokojny, znamy dobrze tych świętoszków, krzywdy im nie robimy. — **MMM. w Wiedniu.** W następującem numerze.

Fejleton.

PORTRETY.*)

VIII.
Kobieta bez przesądów.

Pani Laura straciła wszelkie przesądy, skoro tylko poszła za mąż, a poszła za mąż w ośmnastym roku życia za człowieka sześćdziesięcioletniego, który wprawdzie nie miał już ani jednego włosa na głowie, ale natomiast był właścicielem dwóch młynów parowych, czterech gorzelni i browarów, a pod wiosnę sprzedawał dwa tysiące korcy pszenicy i piećset cetnarów rzepaku. — Rodzice pani Laury stali już u schyłku swej fortuny, powiedzieli więc swej córce, że trzeba koniecznie iść za pana Dyonizego, że nazwisko tego wymaga, aby ona miała *Landau* i konie szesnastej miary, aby siedziała w loży na pierwszem piętrze, a w lecie prowadziła na wsi dom otwarty. Panna Laura nie dała sobie zrazu mówić o sześćdziesięcioletnim mężu, zaczęła płakać i desperować, zaczęła myśleć o odebraniu sobie życia, i w tym celu chodziła się już przypatrywać, czy staw w ogrodzie głęboki; wszelkie jednak płacze i narzekania na nic nie pomogły, wola rodziców była żelazna; wyprawę kazano szyć, a narzeczony piękną skarogniadą czwórką i lekkim kabryoletem zajeżdżał przed ganek co dwa tygodnie, tego samego dnia i o tej samej godzinie. — Ośmnastoletnia panienka powiedziała wprawdzie kilkanaście razy swemu przyszłemu mężowi, że go nienawidzi, on jednak odpowiedział, że w to nie wierzy, i że jest przekonanym, że ona go polubi po ślubie. Nie mogąc sobie w ten sposób dać rady z uporem starca, postanowiła Laura dokuczać mu na każdym kroku. To też raz wsypała mu tabaki do rumianej zupy, za co od mamy dostała groźne upomnienie, innym znów razem przekupiła lokaja, aby w gościnnym pokoju wytarł prześcieradło proszkiem z papryki; narzeczony był jednak stały, i miał czoło skarzyć się przed rodzicami Laury na jej złośliwe figle.

Gdy wreszcie nic nie odstraszało sześćdziesięcioletniego konkurenta, ani obcinanie mu połów u fraka, ani skrapianie atramentem jego bielizny, ani żaden inny złośliwy pomysł, postanowiła Laura uciec z domu do swej ciotki na Wołyniu i zwierzyć się ze swym zamiarem pannie służącej, która jej ucieczkę ułatwić miała. Doświadczona panna służąca nie chciała jednak utracić łaski ani starszej ani młodszej pani, przedstawiła więc Laurze, że ucieczka nie miałaby celu, że ciotka jej prawdopodobnie także jest pryjaciółką jej narzeczonego, że zresztą to małżeństwo nie zdaje jej się być tak strasznem, jakby się to na oko zdawać mogło, sześćdziesięcioletni starzec bowiem nie długo pożyje, zostawi jej wielki majątek, a co lepsza, ma on już tak krótki wzrok, że nie spostrzeże bynajmniej częstych wizyt pana ks. Alfreda, do którego panna Laura wzdychała. Zresztą stary mąż pojedzie w lecie do Karlsbadu, gdy tymczasem pani poleci lekarz udać się do Ems. W Ems może się znaleść pan Alfred lub kto inny — ot i wszystko dobrze będzie.

Panna Laura zżymała się z razu na takie perswazje, ale w końcu osądziła: że lepiej będzie pojechać do Ems z panem Alfredem, aniżeli topić się w zimnym stawie i wyglądać po śmierci z sinemi policzkami i nabrzękłą wargą.

„Kiedy więc chcecie abym szła za tego starucha — odpowiedziała Laura swym rodzicom — to przynajmniej niech ślub będzie jak najprędzej, niech się odbędzie w wiejskim kościele przy drzwiach zamkniętych, i niech nikt nie widzi mego wstydu“.

Ojciec zatelegrafował natychmiast po pana Dyonizego, a zgrzybiały narzeczony stawił się o naznaczonej godzinie, usłyszał raz jeszcze od Laury szczere zapewnienie, że ona go nienawidzi, było mu to jednak obojętnem, albowiem tego samego dnia stanął z Laurą przed ołtarzem. Na zapytania księdza dającego ślub, panna młoda nic nie odpowiadała, ksiądz jednak udał, że nic nie słyszy i nic nie widzi, związał ręce stułą i formalność była skończona.

W tydzień po tej formalności zabrała pani Laura wszystkie swoje kosztowności i kilka tysięcy reńskich, które przypadkowo znalazła w biurku swego męża — *i odtąd nie miała już żadnych przesądów.*

Pani Laura pojechała do Drezna, najęła sobie piękne pomieszkanie, znalazła życzliwych przyjaciół, napisała do rodziców list opisujący powody swego wyjazdu, i odebrała nadspodziewanie przychylną od nich odpowiedź, w której ojciec każe jej natychmiast donieść sobie, czy pan Dyonizy będzie jej wypłacał umówione przed ślubem dochody, w przeciwnym bowiem razie musiałby go natychmiast pozwać i zmusić sądownie do wypłacania apanażów.

Odtąd była pani Laura nadzwyczaj wdzięczną swej pannie służącej, że ją namówiła do stanowczego kroku, i zaczęła wieść nader swobodne życie. Znalazły się jednak w drezdeńskiem towarzystwie matrony, które niechętnie patrzyły się na jej postępowanie, a co większa, jedna z tych dam ostentacyjnie nie przyjęła w swym domu młodej niby-mężatki.

Niegrzeczność ta tak rozgniewała panią Laurę, że w kilka dni opuściła Drezno, wzięła w dzierżawę od rodziców jakąś małą wioseczkę, urządziła dom jak mogła na razie najlepiej i postanowiła zupełnie u siebie nie przyjmować bab plotkarek, natomiast dom jej był otwarty dla młodzieży, lasy roznosiły echo myśliwskiej trąbki, wierzchowce przeskakiwały barjery, korki z szampana zostawiały ślady na sufitach, zielone stoliki stały w pokojach jak u kawalera — słowem na całą okolicę nie było przyjemniejszego i weselszego domu jak dom pani Laury. Pan Dyonizy sprzykrzywszy sobie długą nieobecność żony, a nadewszystko owe kilka czy kilkanaście tysięcy, które jej musiał rokrocznie wypłacać, przyjechał raz do niej w odwiedziny. Pani Laura wyjechała w tej

*) Portretów kobiet będzie 24. Dotąd były: Klaudja, w Nr. 2. Reformatorka z drugiego piętra, w Nr. 3. Żona delegata do rady państwa, w Nr. 4. Pani prezesowa rady powiatowej, w Nr. 5. Wielka szpitalniczka galic., w Nr. 6. Lafirynda, w Nr. 7. i 8. Panna „dobrze“, w Nr. 9. i 10.

chwili drugą bramą, kazała służbie przyjmować pana Dyonizego jak najgościnniej, dawać mu do stołu najlepsze wina i karmić go samemi potrawami, które mu najlepiej przypadały do smaku, sama zaś udała się na jakiś czas do miasta, sądząc, że się jej mężowi znudzi ta wizyta. I rzeczywiście, zrazu był pan Dyonizy uzbrojony w cierpliwość, chciał przeczekać pierwsze oburzenie swej żony, chciał się koniecznie z nią zobaczyć; gdy jednak dzień za dniem przechodził, a pani domu jak nie było tak nie było — więc rad nie rad kazał zaprządz i wrócił do domu, obawiając się, że przez dłuższy czas jego nieobecności w gorzelni będzie gorszy wydatek a robocizna dwa razy tyle będzie kosztowała co zwyczajnie.

Ufność w swe własne siły, nie oglądanie się na nikogo, wyrobiły w pani Laurze niepospolity charakter, mówiono na nią wprawdzie że dziwaczka, że jest zakałą społeczeństwa, i że moralność zatrzymuje się u granic jej wioski; pani Laura jednak nic sobie z tych gadań nie robiła, albowiem wcześnie umiano w niej zniszczyć wszelkie zarody kobiecej oględności i wytknięto jej taką drogę, po której szła jak mogła najlepiej. — Wiedząc, że wszelkie bajki z domu wynoszą zwykle panny służące, szafarki, słowem kobiety różnego rodzaju, nie trzymała pani Laura u siebie zupełnie kobiecej służby, żadnej kobiecie nie wolno było przekroczyć bramy od podwórza. Lokaje, furmani, ogrodnicy musieli być ludzie nieżonaci, a jeżeli któremu przyszło na myśl żenić się, to tracił służbę u pani Laury.

Pani Laura nadzwyczaj lubiła porządek i karność w swoim domu, zdawałoby się zaś, że samej jednej kobiecie z trudnością to przychodziło utrzymać w karbach tę zgraję sług, których trzymała bez liku. Potrzeba jednak wytworzyła w niej dziwną pod tym względem energię. Niczem było u niej laską uderzyć kamerdynera, wyrzucić za drzwi nieposłuszego furmana, wziąść cugle od niewprawnego koniuszego, a samej dosiąść konia i pokazać mu jak się go prowadzić powinno. (D. c. n.)

ANDREA

czyli

przez policję i dom warjatów — do wiary małżeńskiej.

(Komedja z kilku „odsłonami“ przez W. Sarton).

OSOBY:

Stefan hr. de Toeplitz. Główny bohater, ofiara miłości swojej żony i dowcipu autora, zresztą niezły chłopak.

Andrea. Główna bohaterka i żona bohatera, kochająca z temperamentu, cnotliwa z roli, naiwna z przyzwyczajenia.

Baronowa de Lussan. Miękkiego serca, długiego języka i gęsiego rozumu. Ma słabość do udanych jenerałów i fałszywy gust.

Stella. Baletniczka. Lubi złoto i szampan. Najrozsądniejsza osoba w całej sztuce wbrew niemieckiemu przysłowiu: (Dumm wie ein Tanzmeister.)

Fryderyk Simar, szwagier Toeplitza, Z rodzaju „tych wygodnych“.

Baron Kaulben. Don-Juan i „przyjaciel kobiet“ w skórze dyrektora policj.

Baltazar, bussola z popsutą igłą magnetyczną.

Jenerał Cracovero, jeden z tych którzy przysięgali że nie oddadzą Prusakom ani jednej piędzi ziemi francuzkiej i ani jednego kamienia z fortec.

Birszman złotnik, filozof i moralista.

Szram stróż i dyplomata.

Dyrektor teatru (w guście krakowskiego) — dwóch recenzentów na scenie i dwóch w krzesłach — Komisant — doktor teatralny — lokaje i pokojówki — maszyniści — ajenci klaka na scenie i po lożach — szarada — słownik łaciński — bransoleta — otumaniona publiczność — moralność z rozbitą głową — estetyka hemoroidalna.

Rzecz dzieje się w Wiedniu na złość geografii i wielkiemu prawdopodobieństwu, częściowo także w teatrze lwowskim i w domu warjatów.

Czas: w trzy lata po zaborze Alzacji i Lotaryngji.

1sza Odsłona.

W której okazuje się nawet łaciński słownik, może dopomódz czasem do zawiązania intryg a „naiwnym“ żonom do odkrycia nazwiska ich rywalek. W skutek tego bohaterka bierze pod pachę słownik i cnotliwego jubiliera i udaje się do garderoby swojej rywalki baletnicy Stelli, dla skonstatowania tożsamości jej osoby. Logika i zdrowy sens dostają tymczasem spazmów. Loże klaszczą zapamiętale.

2ga Odsłona.

W której pani Nowakowska odsłania przed zdumioną publicznością mało znane dotąd strony swoich artystycznych przymiotów. Okazuje się że wielka artystka „sztuką“ nawet z „niczego“ potrafi zrobić „coś“. Wata podskakuje w cenie a bohaterka w opinii. Przekonawszy się o zdradzie małżonka udaje się bohaterka wprost na policję, ażeby wyrobić na podejrzanego o ucieczkę bohatera areszt prowizoryczny. Moralność i estetyka dostają kołek. Loże drą rękawiczki z wielkiego entuzjazmu.

3cia Odsłona.

Okazuje egzemplarz Don Juana w skórze policmajstra. W skutek niedostatków nowej procedury karnej, areszt prowizoryczny okazuje się niemożliwym. Dowcipny policmajster doradza natomiast krótki pobyt w domu warjatów jako środek skuteczny do nawrócenia bohatera na drogę powinności małżeńskiej. Ktoś z krzeseł robi uwagę że środek ten byłby równie zbawiennym dla samego autora. Obecni w teatrze lekarze uśmiechają się między sobą porozumiewająco. Loże nie dają się zbić z tropu i klaszczą.

4ta Odsłona.

Okazuje się że policmajster miał słuszność i że bohater rzeczywiście zasługuje na zamknięcie do czubków, co też wreszcie ku wielkiemu zadowoleniu publiczności następuje. Razem z nim idą na kurację logika i sens.

5ta Odsłona.

Okazuje pomyślne skutki zimnych tuszów. Bohater wpół uzdrowiony ucieka ze szpitalu. Na logikę i sens mała nadzieja.

6ta Odsłona.

Okazuje że każda niedorzeczność ma wreszcie swój koniec a największe głupstwo, byle francuskie, swoich admiratorów. Logika i sens pozostają w szpitalu bez nadziei ratunku. Moralność dostaje pałką w łeb a estetyka padaczki. Loże bardzo zadowolone. Zasłona zawstydzona spada.

ROZWIĄZANIE LOGOGRYFU Z N. 11.

„Faktor, aktor, tor“.

Na granicy moskiewskiej.



OBJESZCZYK: Wasze błahorodje! Złapałem dwóch brodjagów. Jeden nazywa się Bulbeńko, a drugi Szomerowicz; a strasznie źle im z oczu patrzy.
URZĘDNIK: Małczat' durak! To russkije z Galicji; car pożałował ich w kanoniki do Chełma.
OBJESZCZYK zakłopotany do siebie: „Ach hospodi! to kanoniki, a ja im zęby już powybijał.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Liberat Zajączkowski.
Czcionkami K. Pillera.